Wszarej Godzinie

— Hop, hop! galop, galop! Ziemia dudniała pod końskimi kopytami, a Tomusia trzymał przed sobą jakiś wspaniały rycerz.

BIBLIOTEKA DLA MŁODZIEŻY. Tomik XX.

W SZARÉJ GODZINIE

TRZY POWIASTKI

OPOWIEDZIAŁ MAŁÉJ DZIATWIE

JULIUSZ STARKEL.

WE LWOWIE.
NAKŁADEM TOWARZYSTWA PEDAGOGICZNEGO.
I. Związkowa drukarnia we Lwowie.
1887.

Wyższa Szkoła Pedagogiczna
BIBLIOTEKA GŁÓWNA
w Kielcach

189551

I.

MAŁY TOMUŚ.

Mały Tomuś miał się nauczyć lekcyi z geografii Polski, a kazano mu przytém pilnować młodszéj siostrzyczki, Elżbietki. Nie było to łatwo. Biedny chłopiec trzymał Elżbietkę na kolanach, śpiewał jéj wszystkie krakowiaki, które umiał i tylko od czasu do czasu zaglądał do książki, leżącéj przed nim na stole. Na jutro miał się nauczyć na pamięć, które są ważniejsze miasta polskie i jakie są w tych miastach osobliwości.

Wtém wróciła matka i wzięła Elżbietkę na ręce. Tomuś poskoczył z książką ku oknu i mało sobie oczu nie wypatrzył; zmrok zapadał coraz ciemniejszy, a matka nie miała ani grosza na świeczkę.

Ulicą przechodziła stara kobieta i dźwigała konewki z wodą.

— Tomusiu! — rzekła matka, wyglądając przez okno — patrz-no, jak nasza sąsiadka, stara praczka, się męczy; ledwie nie upadnie. Skoczno moje dziecko i pomóż biednéj staruszce.

Tomuś pobiegł co żywo i pomógł praczce, lecz gdy wrócił, było już całkiem ciemno. Darmo zaglądał do książki, nic już w niéj nie widział i musiał wkońcu spać się położyć. Nie zasnął odrazu, więc myślał o lekcyi z geografii i o wszystkiém, co mówił nauczyciel. Bogiem a prawdą, powinien był mały Tomuś uczyć się jeszcze téj lekcyi, ale cóż, kiedy nie mógł, bo nie było światła. Włożył więc książkę pod poduszkę, bo słyszał, że to czasem pomaga — i myślał, myślał aż nareszcie tak mu się zdawało, jakgdyby go kto w usta pocałował, i zasnął. Kto wie zresztą, czy spał, może i nie spał, bo ujrzał nagle przed sobą starą praczkę, która patrzyła na niego i tak mówiła:

— O! byłby to grzech prawdziwie, gdybyś ty jutro nie umiał lekcyi. Pomogłeś mi, drogie dziecko, to i ja tobie za łaską Bożą pomogę.

Ledwie to wyrzekła, zaczęło coś skrobać pod poduszką Tomusia i wyleciało z książki kilka orląt.

— Pi, pi, pi! — zawołały orlęta — my jesteśmy z Gniezna, które Lech założył! — I opowiadały, ile to jest mieszkańców w Gnieźnie, i że stamtąd tylko półsiodméj mili do Poznania, gdzie jest piękny nagrobek Mieczysława I. i Bolesława Chrobrego.

Nim jednak orlęta skończyły opowiadać, już pod poduszką ponowiło się skrobanie i piszczenie. Nieprzeliczona gromada myszy wysypała się z książki, jedna przeskakiwała przez drugą, a wszystkie goniły niedobrego Popiela. Tomuś patrzał na nie z ciekawością i ujrzał nagle jezioro Gopło i Kruszwicką wieżę. Księżyc odbijał się prześlicznie w gładkiéj powierzchni wody, a płaczące wierzby schylały ku niéj warkocze. Lecz mgły dziwaczne poczęły zasłaniać widok i zanim Tomuś mógł dojrzeć, co się stało z myszami i z Popielem, już czuł, że jedzie na koniu.

— Hop, hop! galop, galop! — Ziemia dudniała pod końskimi kopytami, a Tomusia trzymał na koniu przed sobą jakiś wspaniały rycerz, cały w żelazo ubrany, z pięknymi piórami na hełmie. Zatrzymał się przed królewskim zamkiem. To był Lublin. Wieżyce zamkowe sterczały dumnie do

góry, ale gdy słońce zaszło, stopniały w promieniach jedna po drugiéj, aż wkońcu została tylko kupa gruzów. Ze szkoły szły dzieci z książkami i mówiły: „pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców“. Tomuś wiedział, że się mylą i że teraz nie ma tam ani trzydziestu tysięcy, lecz nie chciał się sprzeciwiać. Nawet nie miał czasu, bo koń ruszył z kopyta, leciał i leciał, aż zaleciał na Wawel w Krakowie, gdzie stoi prześliczna katedra.

Zobaczył tu rozwarte podwoje, więc wszedł po cichu do kościoła i usiadł w wysokiéj ławce. Cały kościół mienił się barwami tęczy, bo światło padało przez wszystkie kolorowe okna; na chórze grały organy poważnego marsza. Wtedy święty Stanisław w biskupiéj infule, z pastorałem w ręku, wyszedł ze swéj kaplicy i z różnych kaplic wychodzili w złotych koronach ci wszyscy królowie, co tam spią w grobach, i kroczyli za świętym Stanisławem przez kościół. Ku końcowi szedł także król Jan Sobieski, który miał na głowie zielony wieniec zamiast korony. Spojrzał on na Tomusia, pogroził mu z lekka palcem i rzekł:

— A pamiętaj o Lwowie, bo ja tam w 1675. r. pobiłem Turków.

Tomuś przeląkł się troszkę, lecz w téj chwili rzekł mu ktoś do ucha: „Nie bój się, mały Tomciu, ja cię stąd wyprowadzę!“ Był to flisak z wiosłem na ramieniu, ale nie taki, jak zwykle flisacy bywają, tylko maleńki flisak, o głowę mniejszy od Tomusia. Wybiegli obaj z katedry i za chwilkę byli już na galarze, na którym flisak miał węgiel kamienny. Chodź, chodź Tomusiu, mówił flisak, popłyniemy Wisłą do góry; piękne tam rzeczy zobaczysz. Wszak wiesz, jakie miasta leżą nad Wisłą?

Tomuś przypomniał sobie odrazu Warszawę, największe miasto, i przyszły mu na myśl Toruńskie pierniki, bo Toruń także nad Wisłą leży. Wyciągnął nawet rękę po piernik, bo już przypływali do Torunia, ale z piernika zrobił się nagle św. Mikołaj, a potém pomnik, na którym siedział ktoś inny w długiéj szacie z kulą w ręce. Był to pewnie Kopernik, wielki astronom, który się urodził w Toruniu.

Galar flisaka był już nie węglem, ale pszenicą naładowany i dobijał właśnie do Gdańska, zbudowanego w tém miejscu, gdzie Wisła wpada do morza. Roili się tam ludzie i statki. Tomuś jednak gwaru miejskiego nie słyszał, ani

Gdańska nie widził, bo żabki żegotały bezustannie: kwa, kwa, kwaks! a on zasnął przy téj jednostajnéj i nudnéj muzyce. I śniło mu się niby, że mała Elżbietka była dużą dziewczynką i że oboje lecieli wysoko po nad ziemią, jakby po nad mapą, choć nie mieli skrzydeł — a góry, rzeki i miasta przesuwały się pod nimi.

— Czy słyszysz, jak orlęta piszczą pi, pi, pi! A tu zapiał kogut kikiriki! Aj Tomusiu, Tomusiu, będziesz ty miał duży dom i podwórze, a na podwórzu dużo kur i kogutów. Da ci Pan Bóg dostatki, że będziesz mógł i sam żyć i drugim pomagać. Dom twój będzie rósł jak zamek królewski i będzie ci płynęło życie tak lekko, jak galar na Wiśle. A pamiętaj, że pod Lwowem król Jan Turków pobił. O wszystkiém tém mów śmiało i rozsądnie, a jak ci przyjdzie wkońcu do grobu się położyć, to będziesz tak spokojnie spał...

— Jak w katedrze na Wawelu — rzekł Tomuś i zbudził się.

Słońce było już wysoko i zaglądało do okien. Tomuś chciał sobie sen swój przypomnieć, lecz nie mógł, a gdy wyskoczył z łó-

żeczka, zaraz wziął książkę do ręki i ledwie raz przeczytał, już umiał całą lekcyą wybornie.

W téj chwili stara praczka uchyliła drzwi, skinęła mu przychylnie głową i rzekła:

— Dziękuję ci, drogie dziecko, żeś mi wczoraj pomógł. Niech Pan Bóg ziści najpiękniejsze sny twoje.

Bądź usłużny, i ucz się pilnie!

— Co? — wrzasnął Posucha — a cóż to niesiesz na ramieniu? Dawaj mi tu zaraz ten dzbanek!

II.

WDZIĘCZNE RUSAŁKI.

Był pewien biedny zagrodnik, który miał mały ogródek, krowę, parę owiec i osiołka. Nazywał się Michał. Z pracy rąk swoich i z tego skromnego dobytku utrzymywał żonę, Maryannę, i kilkoro dzieci.

Trafiło się, że nastała wielka posucha. Słońce wypalało trawę, liście żółkły na drzewach, źródła i studnie wysychały. Nie wiedziano dlaczego się tak dzieje, aż się wkońcu pokazało, że klęskę tę sprowadził olbrzym Posucha. Był on nadzwyczaj wysoki, gruby i żółty; wzrok miał suchy i zimny, a co chwila wystawiał język ognisty i wołał wielkim głosem: Pić!

Na głos ten straszny wzdychały źródła, jęczały studnie, i to je gubiło, bo Posucha zaraz je odkrywał, a położywszy się na brzuchu wypijał do kropelki. Małe strumyki, co się wiją

wśród łąk zielonych, nie były bezpieczniejsze. Olbrzym wołał wielkim głosem: „pić!“ — i zaraz niknęły.

— I cóż się z nami stanie? — rzekła raz Maryanna do swego męża — bieda zagląda nam w oczy ze wszech stron. Już przeszłego roku musieliśmy pożyczyć kilka wiązek siana od młynarza, naszego dobrego sąsiada, a tego roku jest jeszcze gorzéj. Paszy coraz mniéj i coraz droższa, nie ma skąd jéj pożyczyć, i wypadnie nam chyba sprzedać krowę, owce i osiołka.

— Ciężko nas Pan Bóg doświadcza — rzekł Michał, westchnąwszy głęboko.

— I cóż się stanie z naszymi dzieciętami? — szepnęła Maryanna.

— Nie trzeba tracić w Bogu nadziei — rzekł Michał — a lament na nic się nie przyda; nie rzuci on siana i owsa do żłobu naszéj krowie, owcom i osiołkowi, a nam nie da ani ziarnka żyta. Skoro zaś nie mogę zapracować kosą, to nas siekiera wyżywi. Właśnie nasz pan rąbie las, pójdę się zgodzić na rębacza.

Rzekłszy to Michał, wziął za pazuchę kawał czarnego chleba, chwycił siekierę do ręki, a uściskawszy żonę i dzieci, zawołał:

— Bądź zdrowa żono, a pilnuj krowy, owiec i osiołka.

*
* *

Tymczasem Posucha zrządzał wokoło coraz straszniejsze spustoszenie. Największe stawy i jeziora zaczęły wysychać, młyny wodne stanęły, już i ludziom poczęło braknąć wody do picia.

Pewnego wieczora, gdy słońce chyliło się ku zachodowi i zbliżała się pożądana chwila wieczornego chłodu, zjawiła się na drodze przedziwna istotka. Bardzo zgrabna, ale tak maleńka, że mogła wygodnie spać w listku róży jak w łóżeczku. Spieszyła ona ku jezioru, gdzie błyszczała jeszcze reszta nie wyschniętéj wody.

Była to Ondyna, królowa rusałek. Złote jéj włoski zdobił kwiatuszek niezapominajki, sukienkę miała skrojoną z przejrzystych skrzydełek ważki wodnéj, trzewiczki z pąsowych kwiatków fasoli, a na ramieniu niosła różowy dzbaneczek, tak maleńki, jak kwiatuszek wrzosu. Szczęśliwa, że jest jeszcze woda, napełniła swój dzbaneczek i wracała pospiesznie, gdy wtém straszny Posucha zastąpił jéj drogę, wołając wielkim głosem:

— Pić!

Biedna Ondyna skoczyła w tył z przestrachu i mało co nie wywróciła dzbaneczka.

— Pić! — powtórzył groźnie olbrzym.

— Olbrzymie — rzekła królowa rusałek — ja nie mogę ugasić twojego pragnienia.

— Co? — wrzasnął Posucha — a cóż to niesiesz na ramieniu? Dawaj mi tu zaraz ten dzbanek!

— I na cóż ci się przyda ta kropla wody?

— Pić! pić! — wołał olbrzym, oblizując się ognistym językiem.

Piękna królowa, widząc, że to nie żarty, udała się w pokorę. Rzuciła się więc na kolana przed olbrzymem i mówiła:

— Racz Wasza Wysokość mieć wzgląd na moję rodzinę. Ten dzbanuszek wody potrzebny jest moim dziecinkom, które inaczéj zginęłyby z pragnienia.

Lecz Posucha nie znał litości. Zamiast odpowiedzi wołał tylko wielkim głosem:

— Pić, pić!

— Ale nie z mojego dzbanuszka — zawołała Ondyna, stawiając się ostro.

— Zobaczymy, nędzna mrówko! — wrzasnął Posucha i wyciągnął ku niéj olbrzymią rękę.

Królowa schowała się za krzaczek, ale olbrzym zdeptał krzaczek nogą i znowu się zbliżał do niéj.

— Łaski! — wołała królowa takim płaczącym głosikiem, że się aż ptaszki i motyle nad nią litowały, lecz olbrzym odpowiadał ciągle:

— Pić!

— Łaski! łaski! Nie zabijaj mojéj rodziny!

— Pić, pić! — powtarzał Posucha i już dotykał się różowego dzbanuszka, gdy wtém nadszedł Michał z siekierą za pasem.

— Na pomoc, na pomoc! — zawołała Ondyna.

Michał nie wiedział na razie, skąd się tak cienki a miły głosik wydobywa. Z wielką biedą dopiero spostrzegł maleńką a zgrabniutką figurkę Ondyny, a zdziwił się niesłychanie, słysząc ją mówiącą.

— Mój dobry rębaczu! — prosiła królowa — uwolnij mnie od tego nielitościwego olbrzyma.

Słysząc to Posucha, uderzył nogą ze złości, aż się ziemia zatrzęsła.

Michał, ujrzawszy tę potworę, mało się nie przewrócił, lecz nie stracił odwagi i rzekł spokojnie:

— Czemuż się unosisz, olbrzymie, przeciw téj maleńkiéj istotce? Ona jest tak wątłą jak zdziebełko i opierać ci się nie potrafi.

— Ja chcę pić! — wołał Posucha.

— Na to ci to drobne stworzenie nie poradzi.

— Wcale nie, wcale nie! — dodała z pospiechem królowa.

— Kłamiesz — zaryczał olbrzym — wszak masz dzbanek pełen wody.

— Czyż ci już nie powiedziałam, że bez téj wody zginęłyby moje dzieci? — rzekła z płaczem Ondyna.

— Oho, nic z tego nie będzie! — zawołał Michał, zwracając się do olbrzyma. — Prędzéj ty ucho swoje zobaczysz, niż tę wodę.

— Co? — zawołał Posucha, biorąc się pod boki — a któż mi zabroni?

— Ja — rzekł krótko Michał.

Na te słowa, rozdrażniony olbrzym zwrócił się ku Michałowi i machnął ręką, lecz ten odskoczył na bok i uniknął ciosu. Trzeba zaś wiedzieć, że Michał, jak wszyscy rębacze, umiał rzucać bardzo celnie toporem lub siekierą. Skoro więc ujrzał, że to nie przelewki, wydobył sie-

kierę z za pasa, i ugodził nią Posuchę śmiertelnie.

— Uciekajmy! — zawołał Michał.

Ondyna nie miała czasu nawet podziękować, lecz pospieszyła czemprędzéj do swoich dzieci, Michał pobiegł do chaty, a Posucha leżał jak nieżywy.

Lecz było to tylko omdlenie. Po chwili wstał z ziemi, otarł rękawem krew z czoła i znowu wołał wielkim głosem:

— Pić!

*
* *

Gdy Michał wrócił do domu, przyjęła go żona ze łzami.

— Co ci jest Maryanno, czemu płaczesz?

— Jak nie mam płakać, kiedy właśnie był tu sąsiad i żądał, abyśmy mu oddali pożyczone siano.

— Ten człowiek żąda tego, co mu się należy — rzekł Michał. — To bardzo naturalne.

— Lecz mógł był jeszcze trochę poczekać? — westchnęła Maryanna.

— Nie znamy kłopotu innych ludzi, więc nie możemy tego sądzić — odparł Michał.

— A cóż się stanie z naszą krową, owcami i osiołkiem? — zapytała żona.

Michał namyślał się przez chwilę.

— Za kilka dni — rzekł wreszcie — będzie jarmark; ponieważ nie mamy paszy, więc sprzedamy krowę, owce i osiołka.

Maryanna, usłyszawszy to, zaczęła narzekać, a dzieci zaniosły się płaczem, że aż dom cały chodził. Ojciec wydał im się niedobrym człowiekiem, skoro zezwalał, aby sprzedano krowę, owce i osiołka.

Michał już się nie odzywał, lecz postawił siekierę w kącie i rzucił się na ławę. Po obuszku siekiery ściekała krew. Gdy to Maryanna ujrzała, krzyknęła z przerażenia.

— Co tobie jest mój drogi — zawołała, przypadając do męża — czyś się skaleczył?

— Wcale nie — odparł Michał i opowiedział jéj całą przygodę z olbrzymem.

— Jakżeś mógł się tak narażać? — rzekła Maryanna, załamując ręce. — Gdy niebezpieczeństwo zagrodzi nam drogę, powinniśmy zejść na bok i unikać starcia.

Michał milczał.

— A zresztą — mówiła daléj Maryanna — mogłeś także zostać zranionym lub zabitym!

— Eh, mój Boże! czyż miałem zezwolić, aby Posucha pożarł tę małą istotkę?

— Zdaje mi się, że twoje dzieci więcéj są warte, niż ta jakaś mała włóczęga!

Michał zamilkł znowu.

— Prawo — mówiła daléj Maryanna — zakazuje nam źle czynić. Kto jest ubogi i ma rodzinę do wyżywienia, powinien się tylko tego przepisu trzymać.

— Aha — przerwał Michał z uśmiechem. — Nie czynić źle, to już ma być dosyć? Nie moja żono! Takiém jest prawo człowieka, lecz prawo Boże nakazuje nietylko złego się wystrzegać ale także dobre pełnić.

Teraz Maryanna spuściła głowę i zamilkła, i już o tém więcéj nie mówili.

*
* *

Przyszedł nareszcie ten smutny dzień, w którym miano wyprowadzić krowę, owce i osiołka na sprzedaż. Smutek był wielki w całéj rodzinie Michała; on sam tylko udawał, że się

tém nie martwi, ale w istocie spać nie mógł ze zmartwienia i nie wiedział, co daléj pocznie.

Nad ranem tego dnia nieszczęsnego, jeszcze świtać nie zaczynało, zerwał się Michał z łoża, żeby się choć jeszcze popieścić i pożegnać z krową, owcami i osiołkiem. Lecz gdy przechodził przez ogród, uczuł ze zdziwieniem, że w tych miejscach gdzie przed wieczorem ziemia była twarda i od gorąca popękana, teraz grzęzły mu nogi w czemś wilgotném i miękkiém.

— Co to jest? — szepnął zdumiony a pochyliwszy się, uczuł pod rękami bujną trawę. Właśnie téż i zorza poranna zaczęła wschód rumienić, światło oblało ziemię, i Michał ujrzał pełen podziwu, że sąsiednie ogrody były tak twarde i suche jak przedtém, jego zaś kawałek ziemi był wilgotny i okryty najbujniejszą trawą. Radość zapanowała w ubogiéj rodzinie. Michał kosił soczystą paszę, żona i dzieci znosiły trawę płachtami krowie, owcom i osiołkowi, i już nie było mowy o tém, żeby je na sprzedaż wyprowadzać.

Lecz Michał, ciekawy, jak się to wszystko stało, nie mógł i następnéj nocy zasnąć, lecz wstał o saméj dwunastéj godzinie i wyszedł do

ogrodu. Usłyszał tu jakiś szum i pluskanie, więc skrył się za pień wierzby i czekał, co to będzie. I cóż to było? Oto na promieniach księżyca zleciało mnóstwo maleńkich rusałek skrzydlatych i bez skrzydeł, a wszystkie z dzbanuszkami wody i wśród szumu, trzepotania i cichutkich śmiechów podlewały trawę na całym ogrodzie.

W pośrodku, na wielkim liściu łopucha stała znana dobrze Michałowi królowa Ondyna i wydawała rozkazy.

— Synku-strumyku, siostro-fontanno, bracie-potoku, ciociu-rzeko biegnijcie, lećcie wszyscy, otwórzcie wasze wody, żeby napoić rolę tego dobrego człowieka i pokryć ją bujnymi trawami!

Tak rozkazywała zgrabniutka Ondyna, a wszystko się zwijało, spełniając jéj polecenia, a trawa rosła, że aż słychać było, i gdy słońce zeszło, to nie mogło sobie dać rady z milionem kropel rosy, które miało w ogrodzie Michałowym do wypicia.

Tak to trwało przez parę tygodni suszy, aż nareszcie przyszła burza z długim deszczem i wypędziła z kraju strasznego Posuchę.

*
* *

Gdy przyszedł czas sianokosów, smutno było i pusto w okolicznych ogrodach, tylko łąka Michała zieleniła się rozkosznymi trawami. Biedny zagrodnik zebrał dużo siana, a gdy je zwieźli, rzuciła mu się żona na szyję i rzekła:

— Oddałam dług nasz sąsiadowi, a, Bogu dzięki, zostanie nam dość jeszcze, ażeby wyżywić przez zimę krowę, owce i osiołka. Powiedz-że mi teraz drogi Michale, jakim cudem się to stało, żeśmy mieli zbiór tak obfity.

— Jakim cudem? — rzekł Michał — dała nam ją wdzięczność za uczynność, wdzięczność królowy Ondyny i jéj poddanych rusałek.

Płać dobrem za dobre.

„Żebraku stań tu!“ — „Gałganiarzu idź tam!“

III.

KRYSZTAŁEK i PEREŁKA.

W pewném państwie podziemném panował król Złotomir. Posiadłości jego rozciągały się wśród pokładów złota i srebra. I żaden król ziemski nawet we śnie nie jest tak bogatym, jak król Złotomir. Krużganki pałaców jego były wysadzane dyamentami, rubinami i innymi drogimi kamieniami; po komnatach stały prześliczne naczynia i posągi ze złota; jadło i napoje podawano mu w naczyniach z drogiego kruszcu i rzniętego kryształu.

Ale skarb, droższy nad te wszystkie skarby, posiadał król Złotomir w dwojgu swych dzieci. Synek nazywał się Kryształek a córka Perełka. Były to dzieci dobre, ale król psuł je swymi pieszczotami. Czego tylko zapragnęły, zaraz im dostarczał; gdy tylko były zasępione, starał się

je zaraz rozweselać tysiącznymi podarunkami i zabawami.

Do królestwa Złotomirowego prowadziła z ziemi wąska szczelina między dzikimi bardzo skałami. Szczeliny téj nie znał żaden z śmierlelników i nikt się téż nie mógł dostać do środka, ale Kryształek i Perełka wybiegały czasem na ziemię pośród nocy księżycowych, i cieszyły się blaskiem księżyca, tańcząc ze swoimi cieniami.

Pewnego razu zdarzyło się, że pomiędzy owe skały zabłąkał się blady człowiek z długimi rozczochranymi włosami. Miał on dużą tekę pod pachą, ołówki i pędzle, siedział na kamieniu i rysował dzień cały, a potém poszedł daléj. A gdy odchodził, wypadły mu niektóre kartki z teki i zostały na skałach.

Właśnie téjsaméj nocy wybiegł Kryształek z Perełką, ażeby między dzikimi skałami pobiegać, i znaleźli zgubione kartki. Były to dwa obrazki: na jednym był przedstawiony gałganiarz, co stare szmaty zbiera, na drugim zaś stary żebrak.

Dzieci królewskie przypatrywały się pilnie owym obrazkom, bo jeszcze takich ludzi nigdy nie widziały. W królestwie Złotomira mógł

każdy brać złota i srebra całymi worami, ile mu się podobało, nie było więc nigdzie ani żebraka, ani gałganiarza. Jakoż widok tych nieznanych figur tak zajął Kryształka i Perełkę, że poszli obydwoje do ojca z prośbą, ażeby im sprowadził żebraka i gałganiarza.

Złotomir starał się zrazu odwieść dzieci od tego żądania. Tłómaczył im, że to są figury brzydkie i brudne, że obudzą w nich tylko obrzydzenie a nie przyjemność, ale wszystkie te uwagi na nic się nie przydały. Kryształek i Perełka oświadczyli, że ani jeść ani bawić się nie będą, dopóki im ojciec nie sprowadzi żebraka i gałganiarza.

Zmartwił się król Złotomir, chodził ze zwieszoną głową po brylantowych krużgankach i dumał jakby tu znaleść żebraka i gałganiarza, lecz nic wydumać nie mógł. Tymczasem Kryształek i Perełka, jak zwykle grymaśne dzieci, wyrabiały tysiączne awantury: to płakały od rana do wieczora, to rozbijały piękne wazony, to biły sługi lub wystawiały im języki.

— Dajcie mi dziada! — krzyczał Kryształek.

— Dajcie mi gałganiarza! — wołała z płaczem Perełka.

Nareszcie pokładły się dzieci do łóżek, mówiąc, że są chore. Przyszedł doktor i oświadczył, że mają gorączkę. Strapiony Złotomir zwołał zatém ministrów, ażeby radzili, jak dzieci zadowolić i do zdrowia je przywrócić.

Minister sprawiedliwości pokłonił się z powagą królowi i rzekł:

— Miłościwy panie! Na choroby tego rodzaju rośnie na ziemi bardzo cenne lekarstwo. Ma ono giętkie pręty z wąskimi listeczkami. Jeśli się pręt taki wytnie, i do ciała przykłada i znowu odejmuje, i znowu przykłada, to się okazują bardzo cudowne skutki i zdrowie rychło powraca.

Zadumał się król nad tą radą i zapytał znowu innego ministra, co on o tém myśli? Minister ten był wielki pochlebca, pokłonił się więc królowi aż do ziemi i rzekł:

— Ja radzę, Miłościwy Panie, ażeby dzieciom we wszystkich nawet kaprysach dogadzać. Jak można co odmówić tak miłym robaczkom? Trzeba im dać, czego chcą.

Uradował się słaby król tą mową drugiego ministra i zawołał:

— Dobrze mówisz! Każ tu zaraz przyprowadzić żebraka i gałganiarza.

— Miłościwy Panie — rzekł minister, skrobiąc się w głowę — kiedy w naszém państwie nie ma ani jednego żebraka, a co to jest gałganiarz, tego nawet nikt nie rozumie.

— Więc jakże mogłeś mi dać radę, któréj sam spełnić nie potrafisz! — zawołał Złotomir groźnie.

Minister zbladł na te słowa i otworzył usta szeroko, ażeby odpowiedzieć, i stał z otwartymi ustami i nie mówił — a wtém wpadł hajduk królewski i zawołał:

— Królu, królu! Jakaś kupa ludzi przyszła tam na dach twojego królestwa. Znaleźli szczątki złota, które pospadały, gdym trzepał twój płaszcz królewski, i zaczęli kopać, ażeby je dostać. Krzyczy to tałałajstwo bardzo i wydziera sobie zdobycz bezustannie. Widziano nawet żebraka i gałganiarza...

— Co? — zawołał Złotomir — Idźcie ich szukać! — i zerwawszy się z tronu, posłał ministrów, ażeby się przekonali o prawdziwości doniesienia. Kryształek i Perełka przestali tymczasem udawać chorych, śmiali się pod kołdrami i wywracali koziołki.

*
* *

Gdy się to działo w królestwie Złotomira, na górze tłumili się kopacze złota, banda ludzi chciwych, którzy pragnęli wydrapać jak najwięcéj szlachetnego kruszcu z pokładów skalistych. Daremnie chodzili pomiędzy nimi żebrak i gałganiarz, prosząc o zasiłek. Odepchnięci szli daléj, ażeby gdzieś znaleść przytułek i kęs chleba.

Szli i szli wąwozami, aż nareszcie przyszli pomiędzy złomy skaliste, gdzie już nie było wyjścia. Siły ich opuszczały, usiedli więc na skale, ażeby odpocząć.

— Jak my się stąd dostaniemy? — zapytał żebrak, spoglądając wokoło i rzucając sakwy dziadowskie.

— Staniemy się pastwą dzikich zwierząt — odparł posępnie gałganiarz, stawiając swą putnię i haczyk do zbierania łachmanów.

— Albo zginiemy z głodu — dodał smutno żebrak.

Wtém uszu ich doszły jakieś pomieszane głosy. Był to piskliwy krzyk dzieci rozgrymaszonych, które głos starszego męszczyzny daremnie starał się uspokoić. Przyłożyli uszy do ziemi i mogli rozróżnić dokładnie wszystko, co się pod nimi działo.

Wyższa Szkoła Pedagogiczna BIBLIOTEKA GŁÓWNA Kielce

— My nie chcemy żyć, nie chcemy! — piszczał głos dziecinny — ani ja, ani Perełka. Rzucimy się do stawu i potopimy, jeśli nam tatko nie da żebraka i gałganiarza.

— Ależ, drogie dziecięta, bądźcie cierpliwe — uspokajał głos męski — poszli poszukać i przyprowadzić wam żebraka i gałganiarza.

— Nie, nie, my się rzucimy do kotła, gdzie się smarzy złoto! — piszczał głos dziecinny.

— Wskoczymy do pieca, gdzie się pieką dyamenty — piszczał drugi głos cieniutki.

— Kryształku, Perełko! — wołał znowu gruby głos męski — Uspokójcie się! Słuchajcie mnie, waszego ojca! Miejcie cierpliwość!

— Hej, sprowadźcie tu czemprędzéj żebraka i gałganiarza!

Żebrak i gałganiarz patrzyli na siebie ze zdumieniem. Czy to sen, czy prawda? Gdzież to ich tak pragną, ich, tak brudnych i obszarpanych? Lecz nim się jeszcze zdołali zastanowić nad owymi dziwnymi głosami, zaskrzypiało ogromne skalisko, jak brama na zawiasach, a z przepaści po za nią ukazało się kilku rycerzy w złocistych zbrojach.

— Zginęliśmy — zawołał żebrak i chciał

uciekać, lecz było już za późno, bo rycerze otoczyli ich wkoło.

Lecz nie groziło im żadne niebezpieczeństwo. Owszem dowódzca rycerzy, ozdobiony gwiazdą brylantów na złocistej zbroicy, zbliżywszy się do żebraka i gałganiarza, powitał ich uprzejmie.

— Szlachetni cudzoziemcy — rzekł składając ukłon — raczcie pójść z nami na dwór dobrego króla Złotomira, który was z upragnieniem wyczekuje.

Rzekłszy to, wskazał im dwa pyszne rumaki. Żebrak wygramolił się na jednego ze swymi sakwami, drugiego dosiadł gałganiarz z putnią na plecach, i cały orszak zapuścił się w krużganek podziemny.

Skoro weszli wszyscy, zaskrzypiało znowu olbrzymie skalisko i zamknęło otwór. Znikło też światło słoneczne i tylko przy świetle brylantów posuwał się orszak naprzód.

*
* *

Przybycie żebraka i gałganiarza na dwór króla Złotomira wywołało radość niesłychaną. Wszystkie wojska królewskie wystąpiły z para-

dą. prezentowały broń przed obdartym żebrakiem i brudnym gałganiarzem i strzelały na wiwat. Sam król wystąpił w uroczystych szatach. a zbliżywszy się do gości, rzekł:

— Witajcie mi, szlachetni mędrcy! Obejmijcie wychowanie moich dzieci, które was oczekują z upragnieniem.

Żebrak i gałganiarz spojrzeli na siebie, gdyż nigdy nie byli profesorami i nie mieli się wcale za mądrych, ale nie mogli się woli królewskiéj sprzeciwić Że zaś byli głodni i zmęczeni, prosili przedewszystkiém jeść i pić i udali się na spoczynek do pałacu.

Nazajutrz rano żebrak i gałganiarz spali jeszcze w najlepsze, gdy wpadł Kryształek i Perełka.

— Dzień dobry żebraku! — zawołała Perełka.

— Dzień dobry, gałganiarzu! — krzyknął Kryształek. — Wstawajcie. wstawajcie, żebyśmy się z wami bawili!

Żebrak i gałganiarz wstali, a że lubili dzieci, więc chętnie się bawili z Kryształkiem i Perełką, opowiadali im o ziemi. a dowiadywali się o różnych osobliwościach państwa podziemnego.

Kryształek i Perełka uważali jednak żebraka i gałganiarza za swoje lalki. Ustawiali ich i ciągnęli za sobą gdzie im się podobało, ciągle rozkazywali: „Żebraku stań tu!“ — „Gałganiarzu idź tam“ — a sami nie chcieli być w niczém posłuszni. Za kilka dni przyszło nawet do tego, że pokazywali język żebrakowi i gałganiarzowi, a nawet bili ich i szarpali za włosy i brodę.

Żebrak i gałganiarz ujrzeli niebawem, że z pośród zbytków, złota i dyamentów trzeba im będzie uciekać, gdyż każdą chwilę życia zatruwały im rozpieszczone i zepsute dzieci. Naradzali się zatém, jakby daléj postąpić.

Tymczasem król Złotomir uszczęśliwiony był tém, że pragnienie dzieci zadowolnił.

— I cóż robi Perełka, moja pieszczoszka?— pytał się żebraka.

— Rozkoszne to dzieciątko i złote serduszko — odparł żebrak, pochlebiając ojcu. — Rozumu ma nadzwyczaj wiele, ale trzebaby ją jeszcze posłać na akademią.

— Na jaką akademią?

— O, jest na ziemi w mieście Biedakowie taka akademia — mówił żebrak — gdzieby się

ona jeszcze wiele nauczyła, a gdzie my jesteśmy profesorami.

— A cóż z Kryształkiem? — pytał król, zwracając się do gałganiarza.

— Dzielny to chłopczyk i mężnego ducha — odparł gałganiarz, pochlebiając ojcu — ale trzebaby go jeszcze posłać na akademią.

— Na jaką akademią?

— O, jest na ziemi w mieście Biedakowie taka akademia — mówił gałganiarz — gdzieby on się jeszcze dużo nauczył, a gdzie my jesteśmy profesorami.

Zadumał się król Złotomir nad tém, co usłyszał, i zwołał ministrów, aby zasiągnąć ich rady, ale ta rada nie na wiele się przydała. Gdy bowiem Kryształek i Perełka podsłuchali pod drzwiami o co idzie, nabrali ogromnéj ochoty poznać miasto Biedaków, wpadli na radę i poczęli krzyczeć, że oni na ziemię pojadą. Król Złotomir chciał wysłuchać zdania mądrych ministrów, więc kazał dzieciom być cicho, ale one położyły się na ziemi i zaczęły piszczeć i nogami fikać. Więc król pożegnał ministrów i oświadczył im, nie czekając rady, że już swoje

robaczki poszle do Biedakowa, kiedy tak bardzo o to proszą.

Jakoż zaraz nazajutrz wziął żebrak Perełkę do swojej torby zgrzebnéj, przysypawszy ją kawałkami suchego chleba, żeby jéj nikt nie zobaczył, a gałganiarz wsadził Kryształka do swéj putni i przysypał go gałgankami, żeby go nikt nie zobaczył, i tak wybrali się na ziemię do Biedakowa.

*
* *

Żebrak i gałganiarz nie kłamali, mówiąc, że są profesorami w Biedakowie, obaj bowiem znali dobrze biedę i mogli o niéj każdego bardzo wiele nauczyć. Żebrak prowadził więc Perełkę do akademii nędzy ludzkiéj i litości, a gałganiarz Kryształka do akademii ciężkiéj pracy.

Szli długo, i długo, nareszcie stanęli na ulicach wielkiego miasta. Było to nad ranem. Na dachach domów leżał śnieg poczerniony od dymu wysokich kominów fabrycznych; po pod domy, chyłkiem, w półcieniu przemykały się blade postacie w łachmanach, trzęsące się od zimna i głodu. Tu i ówdzie szedł szybkim kro-

kiem robotnik w niebieskiéj bluzie, a śnieg skrzypiał pod jego stopami.

Żebrak stanął przed wielkim poczerniałym gmachem, gdzie z jednéj strony był napis: „Szpital“ a z drugiej „Dom ubogich“. Tutaj uchylił drzwi, wysypał Perełkę z torby i poszedł.

Biedna Perełka znalazła się więc w przybytku nędzy ludzkiéj. Wcisnąwszy się w kącik z przestrachu, przypatrywała się wynędzniałym starcom, którzy ledwie nogami włóczyli, widziała dzieci pożółkłe od choroby, widziała kaleki bez rąk i nóg, lub chorych okrytych ranami i jęczących z boleści, widziała jedném słowem tyle nędzy ludzkiéj, że aż serduszko tłukło się jéj z przestrachu jak ptaszek w klatce, i dreszcz zimny przechodził ją od stóp do głowy.

Wtém spostrzegł ją przechodzący dozorca szpitalny.

— Hej, dziecko! chodź tu! — zawołał — próżnować nie będziesz. Choć jesteś mała, i ty się na coś przydasz.

Rzekłszy to, poprowadził Perełkę do łoża biednéj staruszki i kazał jéj usługiwać. Zakonnica, która przechodziła tamtędy, pogłaskała dziewczynkę po głowie i dodała jéj odwagi.

Staruszka leżała w ciężkiéj gorączce. Perełka brała zatém szmatki, maczała je w wodzie i kładła na głowę staruszki, a gdy się ogrzały, znowu je odmieniała. A gdy staruszka mówiła cichym głosem: „pić“, natenczas Perełka podnosiła jéj lekko jedną ręką głowę, a drugą przychylała do ust kubek z wodą. Gdy zaś przyniesiono rosół, Perełka karmiła chorą staruszkę, podając jéj rosół po łyżeczce, a robiła to tak ostrożnie, że ani kropla nie rozlała się na koszulę choréj.

Zresztą, jak potrzeba było, posyłano Perełkę z dzbankiem po wodę lub po polanka do pieca i kazano jéj pełnić różne najniższe usługi, o których jéj pierwéj nawet przez myśl nie przechodziło.

Skarżyć się nie mogła Perełka, bo nawet nie było przed kim, a uciekać bała się, bo nie wiedziała którędy. Od rana do nocy była więc ciągle na usługach przy chorych i biednych, i żywiła się tém, co zostało ze stołu nędzarzy.

A cóż się stało z Kryształkiem?

Z Kryształkiem stało się coś podobnego, lecz zamiast do akademii nędzy ludzkiéj, wyrzu-

cił go gałganiarz z putni w przybytku ciężkiej pracy.

Była to czarna fabryka, gdzie pracowało tysiąc kowali i ślusarzy. Gdy Kryształek znalazł się tam wpośrodku, mało nie zginął ze strachu. Bezustanny huk młotów, zgrzyt pilników, sapanie miechów, huczenie płomienia, pryskanie iskier, świst maszyn napełniały go trwogą nieopisaną. Był pewnym, że lada chwila porwie go która maszyna i na kawałki rozedrze. Ale tymczasem nic mu się jakoś nie stało. Wtém odezwał się za nim głos gruby, rozkazujący:

— No, chłopaku! czego stoisz? Podaj młot!

Kryształek oglądnął się, podniósł z wysileniem leżący tuż obok ciężki młot i podał go spoconemu od pracy czeladnikowi.

— Trzymaj! — zawołał czeladnik, dając Kryształkowi rękojeść obcęgów, które przytrzymywały na kowadle kawałek do białości rozpalonego żelaza. Ledwie Kryształek chwycił obcęgi, podniósł czeladnik oburącz wielki młot do góry i uderzył. Kryształkowi zadrgały ręce, jakgdyby się już miały rozpaść, a snop iskier obsypał go deszczem ognistym. Biedny chłopczyna

zamknął oczy i myślał, że to już ostatnia godzina jego życia — lecz gdzie tam! Kowal skończył kuć i obcęgi odebrał, a Kryształek uczuł, że jest całym i że żyje

Od téj chwili dzień w dzień pracował Kryształek przy śrubsztaku ślusarskim i przy kowadle, uczył się piłować pilnikiem i kuć młotem. Wyjąwszy dwóch godzin w południe, gdy mu jeść dawali, pracował tak od rana do wieczora. Z początku zdawało mu się, że nie wytrzyma i że lada chwila rozpadnie się ze znużenia, lecz powoli nawykał do pracy i do znoszenia trudów, nabierał sił i zręczności. Pracował więc coraz ochotniéj, nieraz już, razem z innymi robotnikami, zanucił sobie piosnkę wesołą, a gdy noc nadeszła i rzucił się na łoże, to zasypiał twardo, jak kamień, i spoczynek był mu prawdziwą rozkoszą, po dniu spędzonym przy pracy. Nie wiedział już odtąd co to są nudy i nie miał żadnych grymaśnych zachceń, a czuł się szczęśliwym, że jest pożytecznym i że może sam na życie swe zarobić.

Tak więc Perełka brała udział w pielęgnowaniu chorych i małych sierotek, a Kryształek pracował ciężko lecz ochotnie w czarnéj fabryce.

Perełce jakoś inaczéj zaczęło bić serduszko, bo czuło litość dla biednych i chorych, Kryształek zaś rozrastał się jak młody lew, nabierał sił i godności człowieka, który umie na siebie zapracować.

*
* *

A cóż się działo w państwie podziemném?

Złotomir tęsknił do swoich dzieci, lecz pocieszał się tém, że one tam w królewskich akademiach kształcą swoje talenta, że się stroją i przeglądają w źwierciadłach, że paplą cały dzień obcymi językami lub grają na instrumentach. Czekał więc cierpliwie, dopóki mu żebrak i gałganiarz nie przyniosą wiadomości o Kryształku i Perełce, ale czekał nadaremnie. Upływał dzień za dniem, miesiąc za miesiącem, a nikt nie przynosił wiadomości z ziemi. Nareszcie z końcem roku pojawili się żebrak i gałganiarz na dworze Złotomira.

— Witajcie — zawołał król radośnie, zeskakując z tronu — cóż mi przynosicie?

— Miłościwy Panie — rzekł żebrak, zdejmując z ramion sakwy dziadowskie — córka

twoja kazała ci nogi uściskać. Zdrową jest i kształci się ciągle na akademii, a na znak, przysyła ci ten oto upominek.

Rzekłszy to żebrak wydostał z sakiew dwie paczki naznaczone czerwonymi krzyżykami. W jednéj była wata a w drugiéj opaski na rany.

Zadumał się król i choć nie wiedział, co ten dar znaczy, uradował się wiadomością o Perełce.

— A cóż się dzieje z Kryształkiem? — zapytał znowu gałganiarza.

— Miłościwy Panie — rzekł gałganiarz — zdejmując z ramion putnię — syn twój kazał ci nogi uściskać. Zdrów jest i kształci się na innéj akademii, a na znak przysyła ci ten oto upominek.

Rzekłszy to gałganiarz, wydostał z putni narzędzia ze stali i żelaza, których król jeszcze nigdy nie widział. Lecz choć nie mógł pojąć, na co się one mogą przydać, uradował się wiadomością o Kryształku.

Upłynął drugi rok, a żebrak i gałganiarz znowu się pojawili i przynieśli królowi upominki od jego dzieci. Perełka przysłała łupkową tabliczkę w białych ramkach a na niéj jakieś

znaki, których król pojąć nie umiał, Kryształek zaś wielką kłódkę i klucz do niéj ogromny.

Nadszedł trzeci rok samotności króla Złotomira, a w roku tym liczne nieszczęścia zwaliły się na państwo podziemne. Otwarły się bramy od czeluści piekielnych i zionęły klęskami głodu, pomoru i wojny. Wychodziły stamtąd i czołgały się okropne żmije, które oddechem swoim zarażały powietrze. Było ich pięć. Jedna zwała się *zawiść*, druga *nieludzkość*, trzecia *kłamstwo*, czwarta *łupież* a piąta *morderstwo*. Daremnie król Złotomir kazał zamykać owe bramy, daremnie wysyłał hufce zbrojne na zwalczenie żmij; bramy się otwierały, a żmije szerzyły złe między ludem Złotomira i krainę szczęśliwą przemieniły w padoł nędzy i łez.

Gorące wichry piekielne zniszczyły wszelki plon i ludzie zaczęli chorować i padać jak muchy. Nie pomogły im całe stosy złota i brylantów, gdyż jeść ich nie mogli, i pośród bogactw musieli ginąć z głodu. A jeśli gdzie który ukrył pożywienie, to budził tém zawiść innych; szerzyły się zatém napady i mordy, i wkrótce ogólna wybuchła wojna. Po drogach leżeli ranni i chorzy, żebrząc daremnie pomocy...

Biedny król Złotomir nie wiedział już co robić; ministrowie nie mieli także żadnéj mądréj rady. A z otwartych bram czeluści piekielnych zionęły ciągle okropne klęski i szerzyły zniszczenie po całém królestwie.

Gdy tak strapiony król Złotomir siedział na tronie ze zwieszoną głową, otwarły się nagle podwoje. Wraz z żebrakiem i gałganiarzem wpadli do sali Kryształek i Perełka. Złotomir krzyknął z radości i rzucił się ku nim, a ile było uścisków i pocałunków między nimi, to trudno naliczyć.

— Jakże wyście wyrośli! — wołał Złotomir, trzymając dzieci za ręce — jakżeś ty zmężniał, Kryształku! a jakaś ty piękna, Perełko!

— Ale ty ojcze jesteś smutny i pochylony. Cóż tobie dokucza?

Tu dopiero Złotomir zaczął im opowiadać wszystkie nieszczęścia, które spadły na jego królestwo, a wziąwszy się za głowę jęczał: Nie ma rady, nie ma rady!

Słysząc to Kryształek, kazał zwołać wszystkich ministrów i tak rzekł:

— Ojciec mój, król Złotomir, kazał was zwołać, ażeby położyć raz koniec téj nędzy, któ-

ra niszczy nasze królestwo. Mieszkańcy tego królestwa mieli dotąd wszystkiego do syta i nie potrzebowali ani palcem ruszyć, ażeby się wyżywić i odziać. A gdy teraz bramy czeluści piekielnych się otworzyły i liczne klęski nas tępią, ludność nie wie, jak sobie poradzić, bo się nie uczyła nigdy pracować. Ja byłem w akademii takiéj, w któréj się nauczyłem, że na wszelkie nędze ludzkie najskuteczniejszém lekarstwem jest praca. Będziemy więc wszyscy pracowali i będzie nam dobrze.

Ministrowie kręcili głowami, nie ufając słowom Kryształka, i pytali, jak się mają do téj pracy zabrać.

— Każcie najprzód postawić wielką kuźnię — rzekł Kryształek — a zaczniemy najprzód od tego, żeby zamknąć bramy czeluści piekielnych.

- Ja zaś — rzekła Perełka, spuszczając skromnie oczy — wracam z akademii litości, i chciałabym, ażeby w serca naszych mieszkańców, które są dotychczas twarde, jak dyamenty, wniknęła cnota miłości bliźniego i litości. Wtedy tylko dadzą się poskromić złe wyziewy czeluści piekielnych, i nie będą po drogach rozstajnych

leżeli chorzy i łaknący, pozbawieni opieki i pomocy.

Ministrowie kręcili głowami, nie ufając słowom Perełki, i pytali co mają czynić.

— Wystawcie wielki szpital dla chorych a ochronkę dla opuszczonych — rzekła Perełka — a to będzie mój pałac, pałac litości.

Złotomir nakazał ministrom, ażeby natychmiast zastósowali się do wskazówek jego dzieci, a sam ściskał żebraka i gałganiarza, dziękując im, że w takich dobrych akademiach umieścili Kryształka i Perełkę.

*
* *

Za kilka dni stało się wszystko to, czego żądały dzieci Złotomira: stała wielka kuźnia z miechami i śrubsztakami, a na drugim końcu miasta, pośród ogrodów, wznosił się wielki szpital i ochronka dla opuszczonych.

Kryształek zakasał rękawy, chwycił młot do ręki, a zwoławszy najtęższych ludzi, wziął się do roboty w kuźni, Perełka zaś, przypasawszy szary fartuszek i zebrawszy wkoło siebie najłago-

dniejsze kobiety, poczęła zbierać po ulicach chorych, zgłodniałych i opuszczonych.

Praca Kryształka odniosła skutek pożądany. Z pomocą ludzi ukuł on siedm ogromnych sztab żelaznych i sporządził sześć kłódek, a gdy to wszystko było gotowe, poszli do bram czeluści piekielnych, zaparli je i zamknęli na siedm sztab żelaznych i na sześć kłódek. Siódmą kłódkę, największą, tę właśnie, którą Kryształek z ziemi ojcu przysłał, przyniósł sam Złotomir na miejsce, powiesił ją własnoręcznie, a wetknąwszy klucz od niej za złoty pas królewski, tak się odezwał:

— Zamknęliśmy czeluście piekielne! Pracą rąk własnych ukuliśmy zaporę przeciw żmijom, które tępiły nasz kraj. Teraz pracą musimy się starać przywrócić tę pomyślność, jaką się dotąd królestwo nasze cieszyło.

Cały tłum ludzi ruszył potem ku wielkim gmachom, gdzie był przytułek chorych i opuszczonych, a gdy tu zobaczyli, jaką opieką otoczyła chorych Perełka i jej pomocnice, i jak się dzieci w ochronce na tabliczkach łupkowych abecadła uczą, wielka radość chwyciła wszystkich za serca, rzucili się tłumem ku Pe-

rełce i Kryształkowi, podnieśli oboje na rękach i krzyczeli bez końca: Wiwat, wiwat, niech żyje Kryształek! niech żyje Perełka!

Stary Złotomir, widząc to, spłakał się jak dziecko, a zwróciwszy się do żebraka i gałganiarza, dziękował im i zamianował ich swymi ministrami.

I było odtąd podziemie królestwa Złotomira tak szczęśliwe, że gdy kto z ludzi zaglądnął tam przez szparę w dzikich skałach, zazdrościł mieszkańcom jego i żałował, że między ludźmi na ziemi nie jest tak samo.

Miłuj bliźnich i pracuj!

Wyższa Szkoła Pedagogiczna
BIBLIOTEKA GŁÓWNA
w Kielcach

200
78633282

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
189551

Biblioteka WSP Kielce
0099057